



KOCHAM ŻYCIE

POKONAĆ OCEAN SAMOTNIE, KAJAKIEM. PRZEPLYNĄĆ GO TRASĄ TAK NIEBEZPIECZNĄ, ŻE KREW MROZI W ŻYŁACH (WODY I WIATR NA PÓŁNOCY SĄ LODOWATE).

Aleksander Doba ←

ROZPOCZAŁ SWOJĄ TRZECIĄ WYPRAWĘ TRANSATLANTYCKĄ I... PRZERWAŁ JĄ NIESPODZIEWANIE.

– GDY CO JAKIŚ CZAS PATRZE W LUSTRO, NIE WIDZĘ SZALEŃCA I SAMOBÓJCY – TŁUMACZY PODRÓŻNIK, KTÓRY NIE STRACIŁ NIC ZE SWOJEGO ZAPAŁU.

– START HONOROWY JUŻ BYŁ, OSTRY TRZEBA TYLKO NIECO PRZEŁOŻYĆ – MÓWI I ZAPOWIADA, ŻE SZYBKO WRÓCI NA OCEAN.

ROZMAWIA: PAULINA NOWOSIELSKA
ZDJĘCIA: JAKUB KAŻMIERCZYK

Swoje 70. urodziny chciał pan uczcić trzecią wyprawą transatlantycką. Nie udało się...

Niektórzy mówią: co cię nie zabije, to cię wzmocni. I... mają sporo racji.

Myśli pan kategoriami: sukces – porażka?

Nie, bo to bardzo względne pojęcia. Himalaista Krzysztof Wielicki wielokrotnie podejmował próby zdobycia K2. Czasem rezygnował, gdy od szczytu dzieliły go zaledwie metry. Ale właśnie takie decyzje ratowały mu życie. A ja... Start honorowy już miałem, ostry – planuję za niecały rok. Zresztą – 71 lat to też piękna okazja! Nie jestem samobójcą. Gdybym chciał płynąć za wszelką cenę, być może teraz gazety pisałyby: oto człowiek, który swój bohaterski czyn przypłacił życiem. Gdy wylądowałem awaryjnie na plaży, byłem zły, trochę zawiedziony, ale z całą pewnością nie załamany. To nie w moim stylu. Na szczęście. Dzięki temu mogę myśleć o kolejnej wyprawie.

Gdy człowiek kończy 30, 40 czy 50 lat, czasem decyduje się zrobić ze swoim życiem coś ekstra. Zmienia pracę, robi kurs pilotażu, skacze na bungee. Pan – płynie kajakiem przez ocean. To się nazywa rozmach!

Bo ja wiem? Skoki na bungee zaliczyłem już jakiś czas temu.

Skakał pan?

Kilka razy. Wiele lat temu byłem skoczkiem spadochronowym i chciałem po prostu przypomnieć sobie stare czasy.

I jak było?

Krótko mówiąc: nie ta skala! Skoki z samolotu to zupełnie inna wysokość, wrażenia, rozmach. Ale spróbowałem bungee, mam to doświadczenie za sobą i wiem, jak smakuje.

Pan jest kolekcjonerem smaków życia?

Lubię robić nowe rzeczy i naprawdę nie wiem, co to nuda. Co chwila wpada mi do głowy inny pomysł. Dlaczego więc miałbym go nie zrealizować?

Trzecia wyprawa transatlantycka jest naturalną konsekwencją dwóch poprzednich – pisze pan na swoim blogu. Ona po prostu musi się wydarzyć?

Tak, bo jeszcze przed pierwszą wyprawą nakreśliłem taki scenariusz. Postanowiłem przepłynąć Atlantyk w trzech etapach. Pierwszy – z Afryki do Ameryki Południowej – był sprawdzeniem całej tej idei. Chciałem przetestować kajak, sprzęt, ale też samego siebie. Bo równie dobrze wyprawa mogła mi się nie spodobać.

I co wtedy? Nie byłoby ciągu dalszego?

Na pewno nie miałbym tego entuzjazmu, który dziś pcha mnie do działania. Bo ja nie lubię robić rzeczy wbrew sobie. Poszczególne etapy łączyły wspólne założenia. Wyprawy są samodzielne, samotne, bez pomocy z zewnątrz, a odcinki między kontynentami pokonuję wyłącznie kajakiem napędzanym siłą moich rąk. Ale wracając do scenariusza... Drugi etap miał być z Ameryki Południowej do Północnej. Ostatecznie zamienił się w wyprawę, w której z sukcesem przepłynąłem najszerszy odcinek oceanu z Lizbony na Florydę. Nie obyło się bez problemów technicznych i niesprzyjających wiatrów. Musiałem podzielić tę wyprawę na dwie części. W pierwszym etapie spędziłem na oceanie 141 dni 19 godzin i 55 minut. Niekorzystne wiatry na zachodnim Atlantyku zatrzymały mój kajak na ponad 40 dni i wymusiły zawinięcie na Bermudy. Drugi odcinek rozpocząłem od zwodowania kajaka z żaglowca „Spirit of Bermuda”. Ale dalej nie miałem szczęścia. Podczas całej operacji złamany został pałak uniemożliwiający kajakowi pływanie dnem do góry, zbi-





ty został klosz światła nawigacyjnego. Mimo to postanowiłem dokończyć trasę. Trzecia wyprawa poprowadzi mnie z Ameryki Północnej do Europy.

Zdążył już się pan przekonać, że tym razem ryzyko jest dużo większe.

Tak, i nie chodzi tylko o częstsze sztormy. Przede wszystkim zimniejsze są woda i powietrze. Skala trudności rośnie więc wszechstronnie. To dlatego z kolejnym startem muszę poczekać do maja. Nie wybrałem korzystnego terminu na wyprawę, tylko ten najmniej niekorzystny. Teraz mam czas, by się przygotować. Będę na pewno bardzo zmotywowany. I proszę wierzyć, że mi się uda.



**WODA TO JEST
ŻYWIÓŁ, KTÓREGO
NIE ZWYCIEŻY
SIĘ NIGDY. MOŻNA
BYĆ JEDYNI
NIEPOKONANYM.**



Dostał pan od oceanu ostrzeżenie?

Ostrzeżenie? Chyba tak... To żywioł, do którego trzeba podchodzić z olbrzymim respektem. Atlantyk znalazł lukę w moim planie i dał mi nauczkę. Popelniłem drobne błędy, kajak dwa razy wywróciło do góry dnem. Za pierwszym razem – gdy siedziałem w kokpicie z wiosłem w ręku. Dla mnie nie było to nic nadzwyczajnego, bo podczas treningów robię takie manewry, choćby eskimoskę (odwrócenie kajaka po wywrotce za pomocą ruchu wiosła bez pomocy z zewnątrz – red.). Dlatego gdy znalazłem się pod wodą, to choć kajak był bardzo ciężki, wiedziałem co robić. W nocy przez pięć godzin walczyłem samotnie z falami, które wdzierały się do wnętrza. Ja byłem bezpieczny, ale ucierpiał sprzęt, dla którego słona woda okazała się zabójcza.

Błędy na oceanie zawsze słono kosztują?

Pamiętam, że podczas pierwszej wyprawy nieźle nawaliłem. Ja, doświadczony kajakarz. Nie wziąłem na drążek wiosła małych krążków, które zabezpieczają dłonie przed spływającą wodą. To był kolosalny błąd, przez który bardzo cierpiałem. Ale pretensje mogłem mieć tylko do siebie. Podczas drugiej wyprawy zdarzyła mi się przerwa w łączności, trwała ponad miesiąc. Zaczęło się ode

mnie, a potem ruszyła lawina błędów innych osób. Dlatego zawsze szukam winy w sobie.

Takie wyprawy uczą pokory?

Mam w głowie dwa, bardzo dla mnie ważne, zdania sir Ernesta Shackletona. To był irlandzki badacz, polarnik. Zamieniam w tych słowach tylko wyrazy, zamiast „morze” jest „woda”. Tak więc: Woda to jest żywioł, którego nie zwycięży się nigdy. Można być jedynie niepokonanym.

Dla pana oznacza to, że...

...Atlantyk tylko przepłynąłem, nie dając się pokonać. Komentując kolejne wyprawy, media piszą czasem: oto człowiek, który pokonał ocean. Te słowa nie są o mnie, bo ocean nie jest moim rywalem. Nie chcę z nim walczyć, a co gorsza – zginąć gdzieś na jego dnie.

Ale na pewno nieraz musiał się pan zmierzyć z pytaniem: po co to wszystko?

Intensywność wrażeń, możliwość wnikięcia we własną psychikę bez zakłóceń, bycie zdany tylko na siebie – tych chwil nie da się z niczym porównać. Zdradzę coś pani: ja kocham życie! Zresztą, człowiek nie ma nic cenniejszego. Ciągle jestem ciekawy świata. Nieraz już słyszałem, że pora skończyć. Że powinienem zacząć jeździć po świecie z wykładami, opowiadać innym, co widziałem. Mam jednak świadomość, że taka wyprawa jest osiągalna tylko dla nielicznych. Wiem, że trafiłem do elitarnego grona szczęśliwców, którzy mogą realizować marzenia. Gdybym nie skorzystał z takiej okazji, byłbym... Głupi byłbym i tyle. Wyprawy powodują, że jeszcze bardziej szanuję życie, ludzi, swoją rodzinę...

I dlatego ucieka pan od nich na długie tygodnie?

Nie! Cenię to, co dla mnie robią. Podczas drugiej wyprawy, po 138 dobach samotności, dowiedziałem się, że płynię do mnie pięć osób. Musiały pokonać 200 km, zajęło im to 13 godz. Dzięki temu miałem czas, by się przygotować na ich wizytę.

Mówi pan tak, jakby przyjmował gości.

Bo tak było. Oni myśleli, że zobaczą zmęczonego, przerażonego człowieka. A ja wyszorowałem się, wypucowałem kajak. Godnie ich przyjąłem. Mój przyjaciel ze Stanów Zjednoczonych, Piotr Chmieliński, przywiózł ze sobą całą ekipę telewizyjną. Dziennikarka zwiedziła nawet mój mały dom, a ja odtąd mogłem żartować, że była moją dziewczyną na kajaku. Przez trzy godziny śmiałyśmy się, rozmawialiśmy. Aż żal było się rozstać. W końcu goście wsiedli na jacht i odплыли, a ja wróciłem do wiosłowania. Miałem jeszcze te 200 km przed sobą, jakie dzieliły mnie od wybrzeży Ameryki Północnej.

Gdy słyszy się o ludziach, którzy zdobywają szczyty, pokonują olbrzymie dystanse, to, bez urazy, staje zwykle przed oczami obraz sportowca w sile wieku, dobrze zbudowanego, nieco atletycznego. A pan...

A ja nikomu w metrykę nie zaglądam. Nie muszę niczego udowadniać ani sobie, ani nikomu innemu. Po prostu





**PO PIERWSZEJ
WYPRAWIE LUDZIE
MÓWILI: SUPER,
ŻE CI SIĘ UDAŁO.
NIC MI SIĘ NIE UDAŁO!
ZREALIZOWAŁEM
DOBRZE
PRZYGOTOWANY
PLAN.**





nie potrafię usiedzieć w miejscu i chcę tę energię jakoś spożytkować.

Stąd te szalone pomysły?

Gdy od czasu do czasu patrzę w lustro, nie widzę w nim szaleńca. Przed startem dziennikarze pytają mnie, czy tym razem ruszam na wyprawę życia. Ja na to robię wielkie oczy. Bo w głowie kreślę plany kolejnej i kolejnej podróży. I to one będą tymi żywymi.

Bo będzie pan nimi żył przez kolejne miesiące?

Dokładnie o to mi chodzi.

Między wyprawami transatlantycznymi zrobił pan sobie przerywnik – podróż po Amazonii. I mało nie przypłacił pan tego życiem!

Mówi pani o tych moich przygodach z bandytami? No cóż, napadli mnie. Ale już mówiłem: ja kocham życie. Staralem się więc, jak mogłem, by przekonać tych panów, że nie stanowią dla nich żadnego zagrożenia. Po co więc mają się stresować i, co gorsza, mnie zabić. Skończyło się dobrze. W każdym razie: w miarę dobrze, bo zostałem obrabowany ze wszystkiego. Przerwałem wyprawę, bo ryzyko dla samego ryzyka nie jest dobre. Wróciłem do Polski. Tłumaczyłem sobie, że w kraju też mam sporo roboty. Założyłem fundację, której celem jest szerzenie wiedzy o świecie. Jeżdżę po szkołach, domach kultury i opowiadam o tym, że można realizować marzenia, przekuć wizje w plany.

Z tym że wiele osób marzy i na marzeniach kończy. Dlaczego jednym się udaje, a innym nie?

Po pierwszej wyprawie ludzie gratulowali mi i mówili: super, że ci się udało. Kilka razy obruszyłem się na te słowa. – Nic mi się nie udało! – odpowiadałem. – Co, nie przepłynąłeś? – dociekał mój rozmówca. – Chodzi o to, że zrealizowałem dobrze przygotowaną wyprawę. Gdybym myślał tylko o tym, co się uda, a co nie, to pewnie poległbym na pierwszej większej fali. Marzenia są piękne, ale trzeba się do ich realizacji gruntownie przygotować. Początkowo często działałem sam. Dziś mam przy sobie zgraną ekipę, to moi przyjaciele i rodzina. Żona nie odstępuje mnie na krok, pomaga we wszystkim. A pamiętam, że jeszcze niedawno chciała storpedować plany pierwszej ekspedycji.

To normalne: bała się o męża.

Ja jej powtarzam, że nie da się jednocześnie być w domu i na dalekiej wyprawie. Jest czas i na jedno, i na drugie.

Blisko 30 lat mieszkał pan w Swarzędzu, skończył pan Politechnikę Poznańską i jest emerytem Zakładów Chemicznych Police. Krótko mówiąc: nie miał pan wcześniej z wodą wiele wspólnego.

Jak nie? Piłem wodę, kąpałem się regularnie, bywałem nawet na basenie.

Niełatwy z pana zawodnik! To inaczej: latał pan na szybowcach. Po co przesiadł się pan do kajaka?

Nic nie zastąpi latania! To jest coś wspaniałego. Zrezygnowałem, bo musiałem. Nie chcę do tego wracać. A jakaków nie planowałem. Jakoś tak samo wyszło... Szukałem czegoś nowego, co nie ogranicza, nie nakłada kłapek na oczy, wręcz przeciwnie – pozwala otworzyć się na świat i docierać do miejsc, które zazwyczaj nie są dostępne.

Długi na 7 m, szeroki na metr. Podczas poprzedniej wyprawy spędził pan w kajaku 167 dni. Jak się odnaleźć w tym tymczasowym domu?

To nie jest pierwszy lepszy kajak. To „Olo”. Jestem inżynierem mechanikiem, projektantem. Długo szkicowałem, jak ma mój pojazd wyglądać. Szerokość, długość, umiejscowienie kabiny – nic nie jest dziełem przypadku. W mniejszym kajaku nie pomieściłbym żywności i sprzętu. W większym nie sięgnąłbym do wody, a przecież trzeba wiosłować.

Konstrukcja typu „sandwich” to dwie ścianki powstałe ze specjalnego włókna węglowego przesyłanego żywicą. Między nimi znajduje się przekładka o grubości 0,9 mm, zrobiona z bardzo lekkiego, sztywnego materiału nienasiąkliwego wodą. Ten kajak ma też dwie bardzo ważne właściwości: jest niezatapialny i nie może pływać do góry dnem. Oznacza to, że nawet jeśli wywróci go fale, wróci do poprzedniego położenia.

To daje dostateczne poczucie bezpieczeństwa?

Tak, dostateczne. Kajak został zbudowany w stoczni Andrzeja Armińskiego, gdzie na co dzień buduje się jachty. Powstał z tych samych materiałów, w identycznej technologii. Ani na chwilę nie zapominam jednak o tym, że Ocean Atlantycki przede mną przepłynęły tylko trzy osoby. Dwóch Niemców i jeden Brytyjczyk. Pierwszy w 1928 r., drugi w 1956 r., trzeci – 16 lat temu. Tłumów na tej trasie nie ma. I jak pani myśli, dlaczego?

Mam odpowiedzieć szczerze czy dyplomatycznie?

Szczerze.

TRAFIŁEM DO
ELITARNEGO GRONA
SZCZĘŚLIWCÓW,
KTÓRZY MOGĄ
REALIZOWAĆ
MARZENIA. GDYBYM
NIE SKORZYSTAŁ
Z TAKIEJ OKAZJI,
BYŁBYM...
GŁUPI BYŁBYM I TYLE.





Bo nie ma tak wielu szaleńców.

Znów ten szaleniec... Ja wolę inną odpowiedź: jest to naprawdę bardzo trudne przedsięwzięcie.

Tym bardziej że po drodze na pewno bywają trudne momenty. Jak wtedy znaleźć w sobie siłę do działania? Gdzie pan jej szukał?

Najgorsze były sztormy. Podczas drugiej wyprawy musiałem się zmierzyć z nimi osiem razy. Jeden z nich trzymał mnie trzy doby, a fale urosły do 9 m. Cóż, łatwo i miło nie było. Ale wiedziałem, że wcześniej czy później napotkam na swojej drodze ten żywioł. Miałem też w sobie wielką ciekawość, jak sztorm wygląda od środka. Owszem, rozmawiałem wcześniej z żeglarzami, bardzo doświadczonymi. Przeczytałem mnóstwo książek, byłem stałym gościem biblioteki Akademii Morskiej w Szczecinie. Gdy już trafiłem w sam środek burzy, podziwiałem fale, które załamywały się tuż koło mnie. To była wielka frajda.

Frajda? Na środku oceanu, podczas sztormu?

Ptaki podlatywały, siadały na kajaku, by chwilę odpocząć przed dalszą drogą. Takich momentów się nie zapomina.

Szkoda, że nie udało się panu uwiecznić emocji. Choćby strachu, gdy stawał pan oko w oko z rekinami...

Z tymi rekinami tobym nie przesadzał. Nie było ich tak wiele, może kilkadziesiąt. A strach? Mój kajak ma 7 m, a najdłuższy rekin, jaki do mnie podpłynął, był o połowę krótszy. Wie pani, jakie to ciekawe stworzenia? Spotkały na swojej drodze coś i nie były pewne, jak zareagować. Co innego taki padnięty wieloryb: góra mięsa i tłuszczu. Można spokojnie się w niego wgryzać. A kajak? Obły kształt, twarda powierzchnia. Trącały więc go, próbując zrozumieć, co to za stwór.

A pan co na to?

Jak rekin podpłynął i szturchnął kajak, to oddałem. Ale nie dlatego, że się bałem czy musiałem się bronić. Po prostu nie chciałem być dłużny. Mam nawet plan, a raczej postanowienie. Gdy znów będę na oceanie, a rekin podpłynie tak jak poprzednio, na wyciągnięcie ręki, to go pogłaszczę. Poprzednio jakoś nie było okazji.

Pogłaszczę pana rekina? Rodzina przyzwyczaiła się już do pana opowieści?

Gdy do żony i dzieci dotarła informacja, że padłem ofiarą napaści w Amazonii, mój syn skwitował to mniej więcej tak: ojciec, nie przejmuj się, Indiana Jones też miał przygody.

Tyle że Indi miał te przygody w filmie i nie nadstawiał karku...

No tak, coś począć...

Gdzie się pan nauczył mówić o rzeczach niebezpiecznych i jedynych w swoim rodzaju w sposób tak prosty i zarazem napawający optymizmem?

Jakoś tak – samo mi przyszło. A może dlatego, że jestem w honorowej radzie Stowarzyszenie Optymistów... **S**